

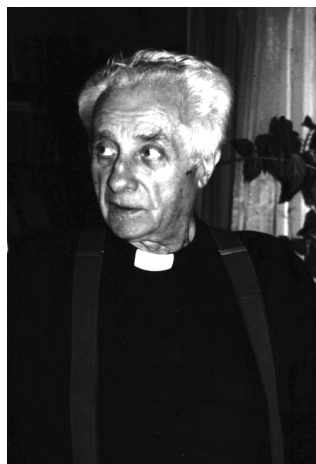
MARIAN BABIŃSKI

KS. PROF. HENRYK WÓJTOWICZ (1928-2012)
– WSPOMNIENIE

Dnia 17 listopada 2012 r. zmarł w Radomiu w wieku 84 lat ks. prof. Henryk Wójtowicz, filolog klasyczny. Zgasł schorowany wśród rówieśników i młodszych braci kapłanów, mając troskliwą opiekę medyczną, w diecezjalnym domu dla księży seniorów. Żegnany przez rzeszę przyjaciół, uczniów, znajomych oraz wiernych z ziemi pioneckiej, został pochowany 22 listopada w rodzinnym grobie na cmentarzu w Pionkach.

Urodził się 16 sierpnia 1928 r. w Janusznie pod ówczesnym Zagożdżonem, późniejszymi Pionkami. W 1948 r. w Sandomierzu złożył egzamin dojrzałości i tam po wakacjach wstąpił do seminarium duchownego. W 1953 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Dwa lata później został wysłany na KUL na studia filologii klasycznej. W 1961 r. uzyskał tytuł magistra filologii klasycznej na podstawie pracy o funkcji porównań w *Iliadzie* i od 1 października tego roku został zatrudniony na Uniwersytecie. Pracował na nim aż do 2002 r., kiedy – będąc od czterech lat na emeryturze – ostatecznie wycofał się z tzw. zajęć zleconych: ostatni egzamin z historii starożytnej dla studentów klasyki przyjął 24 czerwca.

Do 1965 r. był zatrudniony najpierw jako asystent, a później jako starszy asystent I Katedry Filologii Klasycznej. W kwietniu 1965 r. obronił na Uniwersytecie Wrocławskim tezę doktorską *Funkcja kompozycyjna porównań w eposach homeryckich*, przygotowywaną pod kierunkiem prof. dra hab. Jerzego Łanowskiego, uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych i awansował na adiunkta. W 1973 r. został przyjęty do II Katedry Filologii Klasycznej. Od października 1975 r. pracował na stanowisku starszego wykładowcy. We wrześniu 1979 r. na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu złożył kolokwium habilitacyjne, którego podstawą była rozprawa



Studia nad Nonnosem (Lublin 1980) – w kwietniu 1980 r. Centralna Komisja Kwalifikacyjna zatwierdziła jego stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie filologii klasycznej, tak więc w maju powrócił na stanowisko adiunkta. We wrześniu 1980 r. Senat KUL nominował go na stanowisko docenta – ta nominacja została zatwierdzona w 1981 r. przez ówczesnego ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W 1981 r. został powołany przez Senat na kierownika II Katedry Filologii Klasycznej, która po zmianach organizacyjnych w 1994 r. nosiła nazwę Katedry Filologii Klasycznej (Łacińskiej). Pełnił ten obowiązek do końca września 1998 r. W kwietniu 1992 r. otrzymał stanowisko profesora nadzwyczajnego. W latach 1983-1987 oraz 1994-1998 podjął trud kierowania Sekcją Filologii Klasycznej KUL.

Prócz tych głównych zadań uniwersyteckich, którym się sumiennie oddawał, przyjmował na siebie także inne obowiązki, udzielając się niejako na zewnątrz Sekcji Filologii Klasycznej. Działał więc od 1965 r. w Towarzystwie Naukowym KUL, w tym przez kilka lat jako przewodniczący Wydziału Historyczno-Filologicznego; od 1983 r. również w Lubelskim Towarzystwie Naukowym. Ponieważ zajmował się starogreckim piśmiennictwem przyrodniczym, został już w latach siedemdziesiątych członkiem Sekcji Historii Botaniki w Instytucie Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, a następnie Komisji Nauk Przyrodniczych przy Komitecie Historii Nauki i Techniki PAN w Warszawie. Od 1961 r. należał – jak niemal każdy filolog klasyczny – do Polskiego Towarzystwa Filologicznego, w którym przez szereg lat sprawował różne funkcje i angażował się jako organizator różnych przedsięwzięć. Poza tym z wielkim sercem pracował społecznie najpierw w Sekcji Języka Łacińskiego, potem zaś w Sekcji Filologicznej Komisji Episkopatu ds. Nauki Katolickiej, zwłaszcza od 1984 r., kiedy został jej przewodniczącym: organizował wtedy doroczne zjazdy w rozmaitych ośrodkach seminaryjnych z bogatym programem odczytów i wykładów. Wydatnie wspierał też Komisję Badań nad Antykiem Chrześcijańskim przy Wydziale Historyczno-Filologicznym TN KUL, której był przewodniczącym od wiosny 1994 r. aż do śmierci. Na początku swej drogi uniwersyteckiej, czyli w latach 1961-1971, był powołany przez swojego ordynariusza na profesora seminarium sandomierskiego: uczył wtedy greki i łaciny, języka niemieckiego, a nawet ekonomii politycznej i musiał godzić te obowiązki z etatem na KUL-u.

Badania ks. H. Wójtowicza miały szeroki zakres: był filologiem, który swobodnie poruszał się po materii zarówno greckiej, jak i łacińskiej. Prace pisane na stopień opierały się na grece, tak dysertacja doktorska, której owocem była książka *Funkcja kompozycyjna porównań Homera* (Lublin 1971), jak i wspomniana, wydana drukiem rozprawa habilitacyjna *Studia nad Nonnosem* (Lublin 1980). *Antologia modlitwy patrystycznej* (Sandomierz 1971) zawierała zaś tłumaczone na język polski teksty modlitw pisarzy łacińskich. Ważne dla jego dorobku pozostaje też czynione przez wiele lat i wielokrotnie podejmowane na nowo tłumaczenie dzieła Teofrasta z Eresos: *Przyczyny powstawania i rozwoju roślin: fizjologia roślin*, wydane przez TN KUL w 2002 r., a także – dokonane nieco wcześniej – tłumaczenie uznanego poety chrze-

ścijańskiego, Seduliusza Caeliusza, *Opera omnia. Dzieła wszystkie. Tekst łacińsko-polski* (Lublin 1999). Poza wymienionymi publikacjami wydał ponad sto innych, wśród nich wiele poważnych artykułów dotyczących eposu i jego wymiaru stylistycznego, religii antyku czy myśli i środków wyrazu dzieł pisarzy wczesnochrześcijańskich, greckich i łacińskich. Ponadto szereg sygnowanych haseł encyklopedycznych, recenzji oraz rozmaitych sprawozdań. Angażował się też w plany wydawnicze kościelne – w nowe tłumaczenie dokumentów soborowych: *Sobór Watykański II. Konstytucje. Dekrety. Deklaracje* (Poznań 2002) albo też dokumentów doktrynalnych: *Breviarium fidei. Wybór doktrynalnych wypowiedzi Kościoła* (Poznań 2007). Nie zdołał niestety ukończyć przekładu pierwszego opartego na Ewangeliach eposu chrześcijańskiego hiszpańskiego poety Juwenkusa: już na emeryturze często o tym wspominał i nie tracił nadziei, że uda się te homeryckie heksametry udostępnić szerszemu gronu czytelników.

Ks. H. Wójtowicz, który ciągle na KUL-u był obecny, aż dziw to powiedzieć, nie mieszkał w Lublinie. W pierwszym okresie swej pracy, tj. 1961-1971, dojeżdżał na KUL z Sandomierza, w którym miał liczne obowiązki nie tylko w seminarium, ale też duszpasterskie. Od czerwca 1971 r. zamieszkał w Nałęczowie u sióstr urszulanek, przyjmując w jakiejś mierze zadania kapelana oraz udzielając się jako duszpasterz kuracjuszom tego uzdrowiska. Z Nałęczowa wyprowadził się w lecie 1977 r. do Pionek i gościł jako rezydent w parafii św. Barbary. Po dwóch latach przeniósł się do swego rodzinnego domu w Janusznie i tam pozostał niemal do końca swoich dni. Powrót do domu na wieś, bez wygod, na gospodarstwo w rodzaju skansenu, to wyraz niezwyklej odpowiedzialności za wuja, który po śmierci swej siostry, a matki ks. Wójtowicza, zostałyby bez opieki, jakiej bezspornie wymagał, bo był człowiekiem upośledzonym psychicznie po przejściach wojennych i doświadczeniach, jakim był poddany przez Niemców, i zupełnie bezradnym w społeczeństwie. Toteż gospodarstwo przez wiele lat dzięki sowitym dopłatom z uniwersyteckiej pensji kwitło plonami zbóż, przychówkiem krów czy drobiu, dając radość domownikom. Znaczna odległość od Lublina czy uciążliwość dojazdu nie była przeszkodą dla Księdza Profesora: gdy tylko trzeba było zjawić się na KUL-u, był zawsze, gotów przyjeżdżać nawet codziennie.

Warto tu dorzucić, że osiadłszy w Janusznie, nie ograniczał się – jak i gdzie indziej – do pracy naukowej czy prac domowych. Zawsze czuł powołanie kapłańskie i chętnie tę służbę wykonywał. Odprawiał więc dosyć regularnie Msze św. niedzielne dla starszych ludzi w Janusznie, głównie swoich sąsiadek, którym trudno było dojechać do parafialnego kościoła w Pionkach. Pomagał także proboszczom w parafiach na terenie samych Pionek, zwłaszcza w parafii św. Barbary. Związany był też ze swoim kuzynem księdzem, proboszczem w nieodległej miejscowości: wyprawiał się nieraz i do niego z pomocą duszpasterską. Najbardziej jednak był oddany parafii w Zajezerzu, wiosce tuż nad Wisłą, której proboszcz starał się zaspokoić nie tylko religijne pragnienia wiernych, ale też z wielkim poświęceniem – zjednując dla swoich

działań przychylność oficerów z Dęblina – strzegł i podsyczał pamięć o zasługach i męczeństwie tego skrawka Ojczyzny.

Kiedy przywołać wspomnienia z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, a nawet dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, ks. Wójtowicz jawi się jako człowiek o niespożytej sile i zdrowiu. Postawny mężczyzna o pogodnym i dobrotliwym obliczu. Z bujnymi, falującymi włosami. Pełen życia. Od razu budzi zaufanie. Na ćwiczeniach łacińskich nie ma dłużyzn: każdą przerwę uczynioną przez odpytywanego dla oddechu czy zastanowienia zaraz wypełniają słowa nauczyciela. Precyzuje. Dopowiada. Nieraz wtrąca dygresje. Mozolnie tłumaczone przez nas frazy i zdania są korygowane i powtarzane kilkakrotnie przez prowadzącego w swoistym rytmie, często wystukiwanym butem, ku lepszemu zapamiętaniu i utrwaleniu świeżej wiedzy. Na zajęciach podczas żmudnej lektury co jakiś czas ks. Wójtowicz wyjmuje ze swej podniszczonej czarnej torby – która później stała się wręcz jego atrybutem – to słoik z kostkami czekolady, to jakąś torebkę z ciastkami, podsuwa każdemu ze studentów i mówi: „Jedzcie, baranki Boże, bo osłabniecie...” Co kilka dni, zaraz na początku zajęć, każe wyciągać kartki i pisać „klauzurówkę”: trzeba albo tłumaczyć słówka z polskiego na łacinę, albo jakąś frazę czy jakiś passus tekstu łacińskiego. Potem następuje poprawa tych studenckich „banialuk” i głośne „urąganie” naszym umiejętnościom. Lecz właśnie wtedy zapadają w umysł solidne wzorce. I tak krok po kroku doskonalili się znajomość języka i kultury starożytnych.

Gdy jednak odrywał się od dydaktyki, potrafił zanurzyć się w ciszy. I tak milczał skupiony, kiedy odmawiał brewiarz przy swoim biurku bądź czytał coś z problematyki, która go zajmowała. Potrafił w milczeniu pracować długo, przez cały dzień, dzień za dniem, jeśli oddawał się jakiemuś zadaniu. Wtedy najpierw wiele czasu spędzał w bibliotece na poszukiwaniu i analizowaniu wydanych opracowań, tam się napędce posilał i – jeśli była potrzeba – odbywał konsultacje ze studentami lub przyjmował lektury. Potem to w domu, to w katedrze na KUL-u redagował już tekst artykułu czy obszerniejszej rozprawy, czytając często na głos całe passusy i pytając o zdanie, jeśli ktoś się pojawił. Na koniec sam przepisywał swą pracę na maszynie z godną podziwu szybkością, a stukot czcionek rozlegał się na wiele pomieszczeń.

Przyjeżdżając z Januszną, zwykle co tydzień na dwa, trzy dni, już z samego rana dzielił się nowinami. Zachodził do lektorium klasyki i opowiadał barwnie i ze swadą rosnącej grupce słuchaczy, a to, że w nocy ocielila się krowa, że wołał sąsiadów do pomocy i jak to małe cielątko zaraz po urodzeniu stawało na drżących nogach. Że kaczor taki dorodny i kolorowy, który zaginął kilka dni wcześniej, wrócił na podwórze bez dzioba i trzeba było go zjeść. Że nareszcie wykluły się pisklęta z jajek, na których posadził kwokę. Że kotka, która znikła na jakiś czas z oczu, przyniosła do domu w pysku swoje kocięta. Ubolewał, że kuna wydusiła rządę kur. Że jastrzęb porwał perliczkę. Z detalami przedstawiał, jak warzył ser i jak sam wyrabiał masło. Ale też zaraz nas tym nabiąłem częstował. Był w tych opowieściach o swoim świecie całkowicie szczerzy, na wskroś przejrzysty i niezwykle przyjaźnie nastawiony do wszystkiego, co żyje.

Podobne nastawienie ujawniał na niwie uniwersyteckiej: nawet jeśli nie aprobował postaw niektórych bliźnich i raziły go ich niedostatki, nikomu nie oddał surowej sprawiedliwości, ani ze studentów, ani wykładowców. Owszem, mógł postawić dwóję, ale w końcu przyjmował poprawkę, często niezasłużoną. Za jego sprawą żaden student nie odszedł z uczelni. Nie inaczej postępował w radzie wydziału: nigdy nie głosował przeciwko innym pracownikom, nawet miernym. Po prostu nie wyobrażał sobie, by można było wystąpić przeciwko komuś, kto chce się uczyć i jakoś – choć czasem nieudolnie – temu zadaniu się oddaje.

Wrażliwą uwagę kierował na potrzebujących czy to studentów, czy w ogóle tych, którzy znaleźli się w jego otoczeniu, znajomych, sąsiadów, szukających pomocy. Dawał własne pieniądze, lecz nie wstydził się też zbierać dla innych pośród znajomych i mniej znajomych księży. Wielokrotnie wspierał z takich środków różne uroczystości organizowane na Uniwersytecie przez studentów filologii klasycznej. W czasach kryzysu lat osiemdziesiątych, gdy obficie słano pomoc z Zachodu na naszą uczelnię, przede wszystkim odzież, woził pociągiem, a dalej na rowerze w kartonowych pudłach dla swoich sąsiadów to, co mogło im się jeszcze przydać.

Sam był zahartowany w trudach i nie rozczulał się nad sobą. Nad książkami siedział do późna i pracował z ciągle tym samym zapalem. Wręcz dziecięcym entuzjazmem. Chociaż doceniał smak jedzenia i potrafił świetnie gotować, na co dzień żywił się nader skromnie: zjadał coś niewyszukanego i tym się zadowalał. Zdarzało się, że kiedy nie miał wyznaczonego pokoju na nocleg w konwiktach, zsuwał ławki w swojej katedrze, rozkładał na nich dmuchany materac, przykrywał się kocem i tak spał do rana. A rano, wypoczęty i pełen humoru, na nowo przystępował do pracy. Bywało też, że zajęty obowiązkami do późnego wieczora, wychodził z Uniwersytetu, jechał trolejbusem na dworzec PKP, kupował bilet powrotny, czekał na pociąg z Krakowa, wsiadał doń, sadowił się w przedziale i za zgodą kolejarza nocował na bocznicach, by następnego dnia tym samym pociągiem dojechać do siebie.

Obchodząc w końcu maja 2003 r. pięćdziesięciolecie kapłaństwa, na okolicznym obrazku przypominał ks. prof. Wójtowicz swoją dewizę życiową, która składała się z dwu dopełniających się sentencji. Jedna została wzięta z Wergiliusza (*Eneida*, VI, 95) i brzmiała: *Tu ne cede malis, sed contra audentior ito*. I tę często sobie na głos powtarzał. Druga zaś używana była od kilku wieków jako zawołanie wśród duchownych: *Non in sermone, sed in virtute*. Można śmiało rzec, iż wypełnił zadania obydwu.